

# WE BRZOWYM GAJU - CZĘŚĆ DRUGA

Festiwalowy weekend zaczął się już w czwartek koncertem The Tiger Lillies. Jak się okazuje, zespół ma w Polsce zaprzysiężonych fanów - niektórzy z nich przybyli na koncert w strojach odwołujących się do estetyki londyńskiej grupy. Pastiszowa muzyka nawiązująca do tradycji kabaretowej spod znaku Brechta i Kurta Weilla dobrze się odnalazła na dziedzińcu przedwojennej fabryki papierosów. Może Łódź ma coś z Berlina lat 30. Może 4 łódzkie kultury muszą się dziś porozumiewać po angielsku? Sam zespół sprawiał trochę wrażenie, jakby nie za bardzo mu się chciało grać. Dyrektor Brzoza wspominał coś o stoisku z płytami i wypełnianiu postanowień kontraktu. Coś w tym chyba było - muzycy po prostu wypełniali warunki kontraktu. Nie wiem nawet, czy wiedzieli, gdzie grają. Łódź w ogóle jest chyba podobna do wszystkiego. W piątek okazała się podobna do Odessy - mówił o tym Aleksander Michajłow, reżyser opartego na sztuce Izaaka Babla spektaklu *Wozak i król* (o tym podobieństwie wspomina często Iwan Kulik, mieszkający pod Łodzią ukraiński malarz). Rosjanie grali w tym samym podwórku co tydzień wcześniej Garbaczewski i pokazali, że wykorzystanie nietypowej przestrzeni nie musi się wiązać z orgią multimedialnych projekcji (ani z projekcją obrazu orgii). Naturalna dekoracja, sceny rozgrywane w kilku planach, ciekawie ogrywane rekwizyty nie przeszkadzały w porządnym opowiedzeniu historii. W dodatku Rosjanie znakomicie śpiewali i tańczyli, potrafili też nawiązać kontakt z publicznością. Ale nie ma się co dziwić - w oryginalnym programie reżyser jest przedstawiany jako *zasłużony twórca rosyjskiej sztuki*, a taki tytuł zobowiązuje.

Sobota to prawdziwe festiwalowe szaleństwo - kumulacja aż sześciu wydarzeń (w tym trzech koncertów). Po raz pierwszy poczułem się jak na prawdziwym festiwalu (zwłaszcza że jednocześnie trwała Noc Muzeów, Juwenalia i co tam jeszcze). Szkoda tylko, że nie nad wszystkim udało się zapanować organizacyjnie. Na przykład ciekawa dyskusja na temat historii Łodzi, zorganizowana z okazji wydania numeru pisma "Karta" po części poświęconego naszemu miastu, była zagłuszana próbą koncertu pieśni z getta. Redaktor naczelny "Karty" Zbigniew Gluza i Paweł Spodenkiewicz z łódzkiego IPN-u nie mieli mikrofonów i musieli przekrzykiwać dobiegające z podwórka głosy. To oczywiście drobiazg, ale na przyszłość warto nad takimi drobiazgami zapanować. Podobnie jak nad godziną rozpoczęcia projekcji w podwórzu przy Piotrkowskiej 26. Świetnie dobrane miejsce (betonowe przypory dzieliły przestrzeń na osobne "sale projekcyjne", ale stojąc w pewnym oddaleniu można było obserwować dwie sąsiednie etiudy naraz - były celowo zestawiane w intrygujące całości), ale mniej świetnie dobrana godzina. Filmy pokazywano od 19.00, kiedy było jeszcze zbyt jasno, by coś zobaczyć.

Wracając do dyskusji o Łodzi - dyrektor Brzoza przy powitaniu gości stwierdził, że wraz z artystami przywraca w Łodzi pamięć o nieobecny tu od 70 lat języku jidysz. W dyskusji udało się to sprostować, gdyż jak wiadomo spora społeczność żydowska żyła w Łodzi także po wojnie (do drugiej połowy lat 50.), posiadając swoje spółdzielnie, szkoły, instytucje kultury, a nawet kibuce. Potwierdził to wyważony w sądach, rozsądny i merytorycznie przygotowany Paweł Spodenkiewicz. Może w Łodzi da się jednak znaleźć ciekawe osoby.

W niedzielę ukoronowanie festiwalu - spektakl *Zgierska 38* Teatru Ósmego Dnia. Legenda offowej sceny, mała historia z pogranicza Śródmieścia i Bałut, zamieszanie wokół twitterowych wpisów dyrektor Ewy Wójciak - wszystko to ściągnęło w niedzielny wieczór na tytułowe podwórko bardzo dużo ludzi. Część zresztą zatrzymała się przed bramą, tworząc pikietę w akcie protestu przeciw zapraszaniu skompromitowanej wulgarnymi określeniami papieża artystki. Można by ich potraktować jak zjawisko marginalne (pikietę nie była zbyt liczna), gdyby nie fakt, że w imieniu protestujących przemawiał Tomasz Bieszczad, aktor równie ważnego studenckiego Teatru 77. Scena wręcz symboliczna - historia zatoczyła nie tyle koło, co zapętloną, zdezelowaną ósemkę. Sam spektakl był raczej dokumentem, w dużej części filmowym, ale trzy spośród ośmiu scen to rozpoznawalna poetyka najsłynniejszego polskiego teatru alternatywnego. Była nawet karuzela, tym

razem z dziecięcymi laleczkami. Były też szare płaszcze, trzymane przy piersiach walizki, przerysowane gesty podkradzione Kantorowi, celowe powtarzanie tych samych motywów. Symultaniczność przestrzeni gry zmusiła widzów do wejścia w zakamarki podwórka i poczucia jego atmosfery. Jak każda nostalgiczna opowieść - dużo było tu ciepła i zrozumienia, prawie że idealizacji z gatunku "kiedyś to panie było zupełnie inaczej, nie to co teraz". Tyle tylko, że to kiedyś to czasy głębszej lub płytszej komuny (w zależności od tego, kto z mieszkańców akurat opowiada). *35 lat pracowałam jako zawijaczka cukierków, zawijałam w papierki krówki mleczne, ręce miałam zdarte do krwi. Po pracy lubiłam usiąść w oknie i patrzeć na bawiące się na podwórku dzieci* - wspomina jedna z bohaterek nagranych przez Teatr filmu. Inna wspomina pierwsze wypalone papierosy, mężczyzna opowiada o grze w piłkę "do pierwszej szyby" i bójkach "do pierwszej krwi". W podwórku działała nawet świetlica TPD. I tylko festiwalu wtedy nie mieli.

Napisałem, że łodzianie przekonali się do festiwalu, gdyż frekwencja w drugim tygodniu była lepsza. Być może dopiero wtedy o festiwalu się dowiedzieli. Promocja nie była najsilniejszą stroną imprezy. I wcale nie chodzi mi o drogie kampanie. Gdy Zbigniewowi Brzozie groziła dymisja z funkcji dyrektora Teatru Nowego, chodniki miasta pokryły napisy *Elita pyta: Brzoza czy lipa?* No i co tu teraz odpowiedzieć?

Piotr Grobliński